

Piotr Iwicki: Tomasz Stańko – artysta spełniony

Ilekcio jestem w Tokio, zawsze idę do najlepszego na świecie sklepu płytowego, jednej z ostatnich ostoł muzyki namacalnej, Tower Record obok Shibuya. Przemierzam regały, szukając tego, co mnie interesuje, tego, o czym nie wiem – i oczywiście tego, co polskie. Tomek Stańko zawsze tam jest. I nic dziwnego. Jego piętno wywarte na sztuce jest bezdyskusyjne – pisze Piotr Iwicki w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „PolskiJazz®”.

Pisać o Tomku Stańce z tak bliskiej perspektywy czasu od Jego odejścia, o człowieku, który był dla ciebie mentorem, idolem i bliskim znajomym, to nie tylko zaszczyt, ale również coś, co nazywamy świadectwem. Dlaczego? Bo to jeden z nielicznych artystów, którzy odcisnęli piętno na sztuce europejskiej, kreując coś, co określamy mianem europejskiego brzmienia w jazzie. Ale czy tylko europejskiego?

Manfred Eicher, szef monachijskiej wytwórni ECM, dla której nagrywał Tomasz Stańko, kiedy z nim rozmawiałem, jasno stwierdził, że Stańko, Kurylewicz, Komeda, Trzaskowski, Namysłowski, to jazzmani, którzy stworzyli kanon, taki sam, jaki obowiązywał i obowiązuje w sztuce filmowej. Notabene, te dwa światy: film i jazz, przenikały się, dzięki czemu najpopularniejszą polską jazzową płytą w Japonii jest album *Jazz in Polish Cinema – Out of the Underground 1958-1967*. Znamienne, że można go znaleźć, wpisując trzy nazwiska: Komeda, Trzaskowski i Stańko. Ilekcio jestem w Tokio, zawsze idę do

najlepszego na świecie sklepu płytowego, jednej z ostatnich ostoisk muzyki namacalnej – Tower Record obok Shibuya. Przemierzam regały, szukając tego, co mnie interesuje, tego, o czym nie wiem – i oczywiście tego, co polskie. Tomek Stańko zawsze tam jest. I nic dziwnego. Jego piętno wywarłe na sztukę jest bezdyskusyjne. Kiedy słucha się tego, co uczynił wraz z Komedą i jego kompanami, ma się pewność, że istota tego muzykowania jest trwałość, nieprzemijalność. Wydając dwa lata temu jego album dla Polskiego Radia, szukałem istoty piękna tej muzyki. Porównywałem kolejne wersje *Kattorny* czy *Astigmatic*, wsłuchiwałem się w kolejne interpretacje *Litanii*. Każdorazowa rekapitulacja była jedna: siłą tej muzyki jest kompletna negacja wtórności. Muzyczne mody, gwiazdki jednego sezonu czy raczej właściwszym tutaj jest słowo – komety półsezonu, aspirujące do miana gwiazdy, o których już za kilkanaście tygodni nikt nie będzie pamiętać, to przeciwległy biegun do tego, co dał nam Tomasz Stańko.

Stańko to jeden z nielicznych artystów, którzy odcisnęli piętno na sztuce europejskiej, kreując coś, co określamy mianem europejskiego brzmienia w jazzie

W zasadzie w pewnym stopniu to, co robił Tomasz, było ważnym elementem mojej drogi. Pierwsza poważna recenzja w wielkonakładowym dzienniku – z

koncertu Tomka Stańki. To zaczął się mój etap życiowy: recenzent prasowy. Pierwszy radiowy wywiad na falach ogólnopolskich – z Tomkiem. Potem chwila, w której pogłaskano moją męską próżność, czyli słowa Tomka, gdy przedstawił mnie Chickowi Corei (ten robił nam zdjęcie, ale kiepski z niego fotograf), czyli: „The best Polish jazz

musician and the best Polish jazz journalist”. Ale chyba najbardziej pamiętam inne słowa, te sprzed niespełna roku: – Piotr, ja gasnę, jestem a już mnie nie ma, rozmawiasz z trupem.

Mocne? Mocne. Ale Tomek taki był i było to słycać w jego muzyce. To „coś” to była bezkompromisowość.

„Man, muzyka jest wielka i potrzeba do niej dojść jak do źródła, czasami te drogi są różne. Raz musisz ćwiczyć godzinami, kiedy indziej pół litra na czczo otwiera ci umysł jak nic” – kiedy tego słycałem, zrozumiałem, że mówi człowiek, który zna wszystkie strony jazzu. Te mroczne też.

Kiedy pytałem go o Marka Karewicza, dzień po śmierci naszego fotografa, powiedział, że to Marek kazał mu zacząć prowadzić inny, zdrowszy tryb życia. Ale nie posłuchał go, ale też nie chciał walczyć za wszelką cenę poddając się drakońskim terapiom. Mówił: – Albo wyzdrowię naturalnie, albo odejdę naturalnie, wiem, że płacę cenę za całe swoje życie, to, że nie zawsze dbałem o siebie tak jak trzeba, a co gorsze, sam sobie szkodziłem.

Bez wsparcia ludzi takich jak Ty, nie mógłbyś czytać tego artykułu.
Prosimy, kliknij tutaj i przekaż darowiznę w dowolnej wysokości.

To, co robił w muzyce, nacechowane było świadomością i konsekwencją, a przed tym wszystkim kroczyła wizja. Jego historia brzmi tyle samo banalnie, ile pięknie. Decyzję o wejściu do świata jazzu, w czasach, kiedy wszystko co amerykańskie był z góry negowane

jako przejaw kultury imperializmu, podjął świadomie zauroczony koncertem Dave'a Brubecka. Po latach, podczas których był związany z krakowskim środowiskiem artystycznym (był absolwentem tamtejszej Akademii Muzycznej w klasie trąbki) został zauważony przez tuzów polskiego jazzu, trafił pod skrzydła pianisty i kompozytora: Krzysztofa Komedy. To całkowicie odmieniło życie Stańki, odbijając się głębokim piętnem na jego twórczości na zawsze. Wydana w 1966 roku płyta *Astigmatic*, gdzie obok Komedy i Stańki grają Zbigniew Namysłowski (saksofon altowy) Rune Carlsson (perkusja) i Günter Lenz (kontrabas). To do dzisiaj najważniejszy album polskiego jazzu, i jedna z kluczowych płyt dla europejskiego brzmienia w obrębie tego gatunku. To zdanie podzielają jednogłośnie luminarze jazzu, od Manfreda Eichera, szefa słynnej monachijskiej wytwórni płytowej ECM, z którą Stańko związał się stając się gwiazdą jej katalogu obok Keitha Jarretta i Jana Garbarka, po fanów, a w identycznym tonie mówi nasz jedyny jazzowy laureat Grammy, Włodek Pawlik. Tomek Stańko z wszystkich polskich jazzmanów zaszedł najdalej, stworzył swój muzyczny świat, niepowtarzalne brzmienie, odcisnął silne piętno, a tym co zagrał i nagrał, złożył na gatunku swój podpis. Znamienne, że takie zdanie padło z ust Włodka Pawlika, jedyne polskiego laureata Grammy w jazzowej kategorii.

*To, co grał Stańko, byłoby
niemożliwe bez fundamentu.
Tym fundamentem był
kwartet i kwintet Komedy*

Ale to, co grał
Stańko, byłoby
niemożliwe bez
fundamentu. Tym
fundamentem był
kwartet i kwintet
Komedy. To było

dlań jak odbicie się od trampoliny, a pierwszym wejściem na jazzowy szczyt okazało się wydanie albumu *Ballady* (ECM 1976). Album

podbił serca jazzfanów, ale na prawdziwie światowy sukces musiał poczekać jeszcze blisko dwie dekady. Co ważne, w rozmowach Tomek mówił wprost, że za ten fakt, obarcza wyłącznie siebie. W jednej z rozmów zdradził mi, że pogubił się i wszedł na bezdroże używek. Wszelkich. I przyznam się, że tę szczerość bardzo ceniłem. – Niech młodzi traktują moje błędy jako przestrożę – mówił, kiedy zagadnąłem go o bezwzględność płynącą z książki – wywiadu-rzeki z Rafałem Księżykiem. Ale ta bezkompromisowość stała się pewnym hamulcem powrotu Stańki na wielką scenę. Były płyty, ale każda z nich w pewien sposób przełomowa, ale i niszowa. Jak sam mówił, polski etap. Nie lubił do tego wracać. Co było potem, kiedy ponownie naciskamy przycisk START w jego światowej karierze? Stało się to dopiero w 1995 roku wraz z albumem *Matka Joanna* (ECM), który szybko wpuścił ponownie trębacza w międzynarodowy krwiobieg jazzowych festiwali, prasowych recenzji, wywiadów w najważniejszych magazynach globu. Kolejny ECM-owski album *Leosia* umocnił pozycję artysty, aż do słynnej płyty *Litania (The Music of Krzysztof Komeda)* (ECM 1997), która spowodowała eksplozję popularności jazzmana w światowym formacie. Powróciło więc echo współpracy z Komedą, bowiem płyta w całości odwołuje się do spuścizny po naszym kompozytorze. Dzięki tej płycie Stańko trafił na jazzowy Olimp, a jeśli miarą sukcesu są niezliczone koncerty i obecność w najbardziej prestiżowej ankiecie jazzu, wpływowego, amerykańskiego magazynu „Downbeat”, to można mówić o artystycznym i komercyjnym sukcesie. Do dzisiaj album plasuje się w okolicach 200. miejsca w kategorii bestsellerów awangardowego jazzu, w formacie światowym (amazon.com)! Kolejne płyty potwierdzały każdym dźwiękiem słuszność wpisania Stańki do elity. Ważnym aspektem drogi, którą podążał Stańko, było wciąganie do współpracy młodych jazzmanów, dla których jego zespół był jak jazzowy uniwersytet. W jazzie to normalne, że mistrzowie mają swoich sukcesorów, epigonów, ich dzieło trwa w sposób żywy. Tematy w jazzie są przetwarzane, interpretowane, stają

się standardami gatunku. Stańko, powołując do swoich zespołów młodych muzyków, otwierał często przed nimi drzwi do wielkiej samoistnej kariery. Bezspornie artystyczne miejsce, w którym znajduje się obecnie Marcin Wasilewski, członek polskiego kwartetu Stańki, który dopełniali Michał Miśkiewicz (perkusja) i Sławomir Kurkiewicz (kontrabas), czyli samoistne kiedyś Simple Acoustic Trio, a dzisiaj Trio Wasilewskiego (również nagrywają dla ECM), nie byłoby tak oczywiste, gdyby nie zapoczątkowana albumem *Soul of Things* (ECM 2002) współpraca. Sukcesorzy? Tak. To naturalna drabina, kolejne szczebelki historii jazzu. Stańko jest w ich każdej frazie, tak jak w jego był Komedą.

Zagrałem z nim tylko raz, ale za to u boku Marcusa Millera. To, jak szanowali go Amerykanie, zdumiało mnie najbardziej.

– Nowy Jork, Tczew, Warszawa, to mój świat. Granice nie istnieją. Słucham rocka, kocham dobre kino, oglądam wystawy, oddycham tym samym powietrzem, którym oddychają miliardy ludzi. Może z tego płynie to, co robię, może w każdym oddechu jest kawałek świata? To powiedział mi przez telefon kilka lat temu prosto z mieszkania na Manhattanie. Kochałem te nasze rozmowy, choć niewiele można przytoczyć, bo mówił wprost, bez owijania w bawełnę. Tam samo grał. Nie mizdrzył się do słuchacza. Miał genialne wyczucie sceny. Popatrzcie zresztą na jego zdjęcia. Z każdego okresu. Obiektyw go kochał, ale to cecha artystów stuprocentowych.

Piotr Iwicki